

Rozdział 1



James Bond zawsze ratuje świat przed szaleńcem. Uroczy piesek z filmu familijnego, który gubi drogę do domu, ostatecznie wraca do kochającej rodziny. Wredna cheerleaderka z serialu dla młodzieży kończy jako wyrzutek społeczny.

Romanse zaś istnieją tylko po to, aby kończyć się happy endem!

Dlaczego więc zgodziłam się na to, by moi bohaterowie rozstali się w dramatycznych okolicznościach, tworząc tym samym plot twist, przez który czytelniczki mogą mnie znienawidzić? Teraz gdy siedzę przed obliczem Remigiusza Suskiego – faceta, który dwa lata temu pomógł mi spełnić największe marzenie i odmienił moje życie – nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. W ogóle im dłużej o tym myślę, tym więcej mam wątpliwości. I pluję sobie w brodę, że nie zaprotestowałam wcześniej i nie oświadczyłam dobitnie, że moje książki tak się nie kończą. Nie i już!

– Zapoznam się z tekstem i dam ci znać w ciągu miesiąca, okej? – Mężczyzna bębni palcami o pękatą teczkę wypchaną maszynopisem. – Mam w grudniu trochę zobowiązań towarzyskich, ale twój tekst będzie wędrował ze mną.



– Jasne. – Nie potrafię ukryć napięcia w głosie.

– Nie martw się. – Suski próbuje uśmiechem dodać mi otuchy. – Będę go strzegł jak oka w głowie. Nie trafi w niepowołane ręce.

Akurat o to się nie martwię. Bardziej od kradzieży przeraża mnie jego entuzjastyczna ocena. Czy jest szansa, że jeśli *takie* zakończenie spotka się z jego uznaniem, to będę musiała już zawsze wprowadzać do fabuły podobne plot twisty?!

Prędzej umrę, niż pozwolę, aby zmuszali mnie do tego na dłuższą metę. Historie wychodzące spod mojego pióra są przewidywalne i takie mają pozostać po wsze czasy!

Poza tym jednym wyjątkiem...

Oby Remigiusz uznał, że esencją mojej twórczości są właśnie te sceny, w których główni bohaterowie wyznają sobie miłość i przypieczętowują to namiętnym pocałunkiem. A potem niech do mnie zadzwoni i zażąda, abym zredagowała powieść.

Po cichu na to liczę. Tyle że nie zostawiłam sobie żadnej furtki, aby ewentualnie zmienić zakończenie. Pięć ostatnich rozdziałów *Uwodziciela z ulicy Pogodnej* to rollercoaster emocji. Tytułowy uwodziciel, Norbert, zachowuje się podle, grając na uczuciach swojej wybranki, by ostatecznie rzucić ją podczas wystawnej imprezy. Gdyby Suskiemu się odmieniło i zażądałby „normalnego” zakończenia, musiałabym trochę pogłównkować, jak wiarygodnie przedstawić taką zmianę charakteru. Trudno oczekiwać, że malarz jednym pociągnięciem pędzla zrobi słonia z żyrafy. Nawet ja, z trzema bestsellerami na koncie, nie jestem taka genialna.

– Dalia... – Opiera łokcie na biurku i spogląda na mnie z udawanym współczuciem. – Będzie dobrze, zobaczysz. Twój czytelniczky



fanklub pokocha cię w takiej wersji. – Puszczaj mnie oko. – Wbrew pozorom ludzie lubią być zaskakiwani.

Jak człowiek specjalizujący się w wydawaniu romansów może tak bredzić?!

– Tylko że ja nie kryję się z tym, co myślę o nieszczęśliwych zakończeniach. Na moich social mediach wspomniałam o tym w dziesięciu postach – odpowiadam, hardo patrząc mu w oczy. – Nie chcę, aby to, co budowałam przez te dwa lata, poszło z dymem.

Remigiusz opada ciężko na oparcie krzesła i splata palce na płaskim brzuchu. Staram się być na niego choć odrobinę zła, ale to postanowienie rozpada się jak domek z kart, gdy tylko posyła mi ten swój hollywoodzki uśmiech. Skurczybyk, jest megaprzystojny i świetnie wygląda w białych koszulach oraz stylowych marynarkach. Nieustannie urzeka mnie sposób, w jaki poprawia swoje krnąbrne kasztanowe włosy opadające mu na czoło. Jest w tym ruchu coś niemal magnetycznego.

To chyba przez moje zamięłowanie do motywu *age gap*. Remek mógłby być moją inspiracją dla seksownego tatuśka o nazwisku Hunter. Albo gburowatego biznesmena podpisującego się Blackthorn i skrycie pożądanego swoją młodszą o piętnaście lat sekretarkę.

Facet jest grubo po czterdziestce, ma kupę kasy i wygląda jak model z reklamy perfum. Jestem ponad piętnaście lat młodsza od niego i nawet moja bujna wyobraźnia nie zakłada, że mógłby się mną zainteresować. Poza tym z tego, co słyszałam, od czasów licealnych jest związany z tą samą kobietą – mają trójkę dzieci i kredyt na dwa miliony złotych. Sami rozumiecie, nic bardziej nie wiąże ze sobą dwójki ludzi niż zobowiązanie finansowe na trzydzieści lat.



– Nasz dział marketingu zaplanuje strategię, która przygotuje twoje czytelniczki na taki krok. – Suski próbuje mnie uspokoić, ale ja i tak ściskam pasek torebki niczym piłeczkę antystresową u dentysty. – Zyta już nad tym pracuje.

Boże, miej mnie w swojej opiece.

– Ale obiecaj, że jeśli odbiór będzie negatywny, nigdy więcej mi czegoś takiego nie zaproponujesz. – Marszczę brwi, aby wyglądać jak rasowa negocjatorka, którą nigdy nie będę. – Decyzje odnośnie do fabuły i zakończeń będę podejmować samodzielnie. Tak jak podpowiada mi wena pisarska.

Wow! To był niespodziewany przyływ odwagi z mojej strony.

Remigiusz uśmiecha się szeroko, uwydatniając dołeczek w lewym policzku.

– Tak będzie. – Kładzie dłoń na sercu. – Obiecuję. Jeśli losy bohaterów spotkają się z czytelnicznym ostracyzmem, powrócisz do swoich ociekających miłością i szczęściem zakończeń.

– A co jest w nich takiego złego? – oburzam się, wyczuwając w jego wypowiedzi sarkazm.

Kto jak kto, ale on powinien okazywać mojej twórczości większy szacunek. To piękne czarne BMW stojące na parkingu pojawiło się zaraz po gigantycznym sukcesie mojego debiutu.

– Nic – wzdycha, jakbym była dzieckiem, któremu trzeba tłumaczyć zawiłości tego świata. – Ale czasami warto zaryzykować. Wyjść poza schemat, pokazać się z innej strony. Nie proponowałem tego żadnej innej autorce, która dla nas pisze. Tylko tobie. Wiesz dlaczego?

Przekrzywia głowę i czeka na moją reakcję. Niemrawo kręcąc głową, bo najwyraźniej muszę uczestniczyć w tym jego małym performansie.



– Bo jesteś pewniakiem. – Wskazuje na mnie z werwą. – Masz talent, wyczucie i wrażliwość. Jestem więc pewny, że ta historia – stuka zaciśniętą pięścią w teczkę – napisana jest w taki sposób, że czytelnicy zrozumieją i zaakceptują jej zakończenie. Życie to nie bajka.

Patrzę mu w oczy, czując się jak bokser, motywowany przez trenera jedną z tych gadek o harcie ducha i waleczności. Tyle tylko, że ja z nikim nie walczę. Nie chcę znokautować serc moich czytelniczek. Pragnę je utulić i pokazać, że literatura kobieca może być trochę oderwana od rzeczywistości. Że po ciężkim dniu w pracy czy szkole zasługują na historię, która je poruszy, rozbawi i wywoła rumieniec na ich policzkach. I zapewne tego właśnie będą się spodziewały po mojej najnowszej powieści. A co otrzymają? Faceta, który w pewnym momencie postanawia zdrwić z uczucia głównej bohaterki i odchodzi, jakby nigdy nic dla niego nie znaczyła.

– Dobrze – odpowiadam jednak spokojnie. – Przeczytaj i oceń swoim fachowym okiem.

– Racja. Mam instynkt i wiem, co się sprzedaje.

Ostrzeżenie w jego głosie jest nad wyraz czytelne. Remigiusz to przesympatyczny gość, ale miewa momenty, kiedy wydaje mu się, że pozjadał wszystkie rozumy. Stroi wtedy piórka i stara się górować nad rozmówcą jak największy goryl w stadzie. Dzieje się tak za każdym razem, gdy ktoś nie odnosi się do jego pomysłów wystarczająco entuzjastycznie. Po raz pierwszy doświadczam jego popisów na własnej skórze.

I muszę przyznać, że wzbudza to we mnie lekki niesmak.



Suski podnosi swoje sprężyste ciało z fotela, dając mi do zrozumienia, że rozmowa została zakończona. Niezbornie gramolę się na nogi i poprawiam bluzę.

– Będę czekać na wiadomość – mówię, gdy wychodzi zza biurka i ściska moją dłoń.

– Zachowajmy standardowy termin. Miesiąc na zapoznanie się i ocenę tekstu.

Zaciskam usta i kiwam głową. Z natury jestem niecierpliwa, więc ten spokój, którym emanuje Remigiusz, mocno mnie irytuje. Mam na koncie trzy bestsellery, ale nadal muszę odczekać swoje, aby dowiedzieć się, czy podpiszą ze mną kolejną umowę. Nie mam pojęcia, czy to ich sposób, aby nie uderzyła mi do głowy sodówka, czy może nie jestem dla nich aż tak cenna.

– Do usłyszenia, Remek.

Wychodzę z jego gabinetu jeszcze bardziej skołowana niż przed spotkaniem i powoli człapię w stronę wyjścia. Kilka razy nawet zwalniam, jakbym na poważnie zastanawiała się nad tym, aby zawrócić i zażądać zwrotu tekstu. Ale oczywiście tego nie robię, bo wredny chochlik w głowie szydzi ze mnie, pytając: „A kim ty jesteś, by tak się zachowywać?”.

No właśnie...

Jeśli coś mi nie pasuje, emanuję niezadowoleniem niczym neon światłem, ale nie mam odwagi wyrazić tego głośno. Mam problem ze stawianiem granic i z walką o samą siebie. Nawet wiem, komu to zawdzięczam. Matka dołożyła wszelkich starań, aby wychować mnie na pokorną i zakompleksioną dziewczynę, która według niej jest zbyt słaba, aby podjąć jakąkolwiek samodzielną decyzję. Przyznaję to ze smutkiem, ale wyprowadzka od niej była najlepszym,

co dla siebie zrobiłam. Nadal zdarza mi się zachowywać jak ofiara syndromu sztokholmskiego i odwiedzać ją z przeprosinami na ustach, choć nie zasługuje ani na moją obecność, ani na takie słowo. Zmiany wymagają jednak czasu, jak mawia moja przyjaciółka. Głęboko wierzę w to, że w końcu uda mi się obudzić tę przebojową dziewczynę, która we mnie tkwi.

Delektuję się jeszcze przez chwilę ciepłym wnętrzem i pozdrawiam wszystkich, którzy wystawiają głowy ze swoich boksów, aby mnie przywitać.

– Dajko! Chciałabyś dołączyć do naszego grudniowego wyzwania? – Ewa z działu handlowego wychyla się ze swojego boksu i posyła mi konspiracyjny uśmiešek.

– A co się z tym wiąże? – Jestem więcej niż podejrzliwa, bo w tym drobnym ciałku kryje się osobowość rebeliantki i psotnicy.

Rozgląda się na prawo i lewo, jakby to, co ma mi wyznać, było supertajne.

– Każdy przygotowuje w domu ekologiczną bombkę – uświadamia mnie z dumą. – Tydzień przed świętami zbierzemy nasze dzieła i zawiesimy wspólnie na firmowej choince.

Trochę mnie zaskoczyła tą wiadomością. Niestety moje zdolności manualne i techniczne są... tragiczne.

– Ja... no... – próbuję jakoś się z tego wymiksować.

– Ekologiczne bombki na plastikowej choince. – Zza moich pleców wyłania się Natałka z działu promocji i posyła Ewie wymowne spojrzenie.

– No i co z tego?! – Autorka ekologicznego zrywu wyrzuca dłonie w górę. – Przyjmijmy, że wykonano ją z recyklingu.

Natalia prycha tak głośno, że aż wywija jej grzywkę, a ja nie mogę powstrzymać śmiechu. Na szczupłej buzi Ewy pojawia się smutek, więc nie mam serca jej odmawiać.

– Obiecuję, że coś przygotuję – deklaruję w przyływie empatii, choć nie mam pojęcia, z czego niby miałabym zrobić ekologiczną bombkę.

Pies go srał, zgmiotę papier w kulkę i pomaluję go farbkami. Coś wymyślę.

– Wiedziałam, że można na ciebie liczyć. – Ewa rozpromienia się jak niebo po burzy. – Choinka w tym roku będzie stała... o tam! – Wskazuje na środek pomieszczenia, w którym pracują handlowcy i marketingowcy.

– Będzie pięknie – bąkam, choć nie wiem, jak będą funkcjonować z takim obiektem w centralnym punkcie.

Ewa co roku jest koordynatorką świątecznej atmosfery w wydawnictwie. Remek się jej nie sprzeciwia, bo wie, że gdyby choć raz się skrzywił na jej pomysły, miałby przekichane.

– Jesteś kochana.

Przynajmniej szeregowi pracownicy wydawnictwa Love Me Tender sprawiają, że czuję się jak ich najulubieńsza osoba. W tym przestronnym wnętrzu pozwalam sobie na otwartość, której zazwyczaj w sobie nie mam. Uśmiecham się, gdy jedna z dziewczyn od finansów komplementuje moją zieloną bluzę z białym nadrukiem „Booktrovert” na piersi. Unoszę kciuk, gdy Ewa przestaje mnie zamęczać swoją akcją i zaczyna zachwycać się – jak zwykle zresztą – moimi czekoladowymi lokami. Muskam palcami grube spirale, a jadowity głos matki o tym, że z rozczochanymi włosami

wyglądam na trzy razy większą, rozbrzmiewa w moich uszach jak zdarta płyta.

– Idę, dziewczyno! – Macham do wszystkich i ruszam w stronę wieszaka po moją kurtkę.

– Dalia! Kochanie... zaczekaj chwilę! – Słyszę za plecami głos, który wywołuje skurcz w moich bebechach.

– Tak? – odwracam się spięta, bo skrycie liczyłam, że Zyta będzie na urlopie.

– Zastanowiłaś się nad tą dużą trasą, o której wspominałam ci w zeszłym miesiącu?

Nadymam policzki, gdy nie spuszcza ze mnie wzroku, maszerując w moją stronę niczym generał na poranną musztrę. Wykładzina tłumi stukot wydawany przez jej niebotycznie wysokie obcasy, ale mimo to Zyta Fręch wzbudza we mnie lekki niepokój. To jedna z tych osób, które dominują nad resztą i której uśmiech nie oznacza niczego dobrego. Podobno w wydawnictwie ma ksywę Terminator i chyba nie muszę wyjaśniać, z jakiego powodu ją otrzymała. I choć nie jest tak korpulentna jak filmowy odpowiednik, to jednak uważam to przezwisko za trafne. Nie zrozumcie mnie źle, Zyta jest zjadliwa. To kompetentna babka, która potrafi znaleźć antidotum na każdy problem, ale to Margaret Thatcher działu marketingu. Gdy się na coś uprze, nie sposób jej od tego odwieść. A ostatnio próbuje zarzucić swoje lasso na mnie i zorganizować mi ogólnopolski tour po największych księgarniach. Na samą myśl, że stoję przed tłumem wystawiona na jego ocenę, przewraca mi się w żołądku.

– Jeszcze nie... – wyduszam z siebie, gdy Zyta zatrzymuje się niebezpiecznie blisko mnie.



Owiewa mnie charakterystyczny zapach bzu, jakby ktoś przytknął mi pod nos świeżo zerwane gałązki tego krzewu. Aromat jest naprawdę interesujący, biorąc pod uwagę grudniową szarżyznę za oknem. Podobno Zyta raz w roku odwiedza francuską perfumeryę i robi zapasy, by później przez jedenaście miesięcy się nimi wręcz oblewać.

– A kiedy zaczniesz to robić? – Opuszcza awangardowe, fioletowe oprawki na czubek nosa i omiata moją twarz spojrzeniem intensywnie niebieskich oczu.

Zaczynam się pocić, kropelki potu pojawiają się na mojej skroni. Najwyraźniej trafiłam na jej kiepski dzień i Zyta zamierza wycisnąć ze mnie jakąś deklarację.

– A nie wystarczy, że pojawiaam się raz w roku na targach książki? – pytam z nadzieją.

Potrząsa rękoma i wydaje z siebie głośny syk, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Jesteś uparta jak osioł! – skrzeczy, po czym znowu wbija we mnie wzrok. – Daję ci dodatkowe dwa tygodnie na zastanowienie. Masz czas do Wigilii. To wielka szansa dla ciebie, ale również dla nas. Codziennie dostajemy mnóstwo zapytań o twoje spotkania autorskie. Czuję się podle, gdy muszę odpowiadać, że nie wyrażasz na nie zgody. Ranisz tyle czytelnicznych serc... – kończy patetycznie, wsuwając okulary na nos.

– Wiem, ale to nie jest takie proste – kajam się, gdy zaczyna nerwowo tupać stopą. – Nie jestem showmanką. Nie nadaję się do opowiadania o moich książkach. Nie lubię dorabiać ideologii i ubierać w piękne słowa tego, co jest dla mnie zupełnie naturalne. Siadam, piszę i tyle. Moi bohaterowie nie żyją własnym życiem. Żyją



tak, jak pokierują ich moje palce stukające w klawiaturę. – Milknę, aby zaczerpnąć oddech. – Nie mam więc o czym opowiadać. W ramach rekompensaty bardzo sumiennie prowadzę social media.

Analizuje moje słowa, bo chyba pierwszy raz wypowiedziałam do niej tyle zdań.

– To nie wystarcza przy twojej popularności. – Unosi perfekcyjnie umalowaną brew. – I wcale nie oczekujemy, że będziesz showmanką. Na każdym takim spotkaniu towarzyszyłby ci moderator, który kierowałby całą rozmową. Wyszłoby świetnie! – Ostatnie słówko akcentuje tak mocno, że aż świszczy mi w uszach. – Pamiętaj, że strach jest największym hamulcowym rozwoju. A najlepiej napisz to na karteczce i przyklej sobie nad komputerem. Jakby każdy się bał, to nie pokazano by światu auta, rakiety kosmicznej i wielu innych wynalazków! Przemysł to i mnie nie zawiedź.

Rozchyłam usta, aby coś odpowiedzieć, ale w tym momencie ona odwraca się na pięcie niczym generał po odprawie. Krótki rudy bob podskakuje, gdy oddala się ode mnie żołnierskim krokiem. Serce wali mi z nerwów, kiedy gapię się na jej zielony żakiet, opinający szczupłą sylwetkę.

Cholera! Cholera! Cholera!

Sądziłam, że po ostatniej rozmowie, w której również nie dałam jej jasnej odpowiedzi, domyśli się, że nie mam zamiaru w tym uczestniczyć. Ale to Zyta Fręch, matka sukcesu wielu pisarzy i pisarek – a przynajmniej tej części, która jest otwarta, przebojowa i pewna siebie.

Czyli ludzi, którzy są moim przeciwnictwem.

Z głową pełną rozszalałych myśli zgarniam z wieszaka puchową kurtkę i wsuwam na głowę czapkę z pomponem.



– Niech to szlag... – mamroczę, popychając szklane drzwi, i wychodzę z budynku.

Czemu ludzie się ode mnie nie odczepią? Czy pozwolą mi po prostu robić swoje i pisać? O nic więcej nie proszę, tylko o święty spokój!

Komórka brzęczy w mojej torebce, więc szybko rzucam okiem, kto pragnie ze mną kontaktu.

Sandra:

Święta coraz bliżej. Mam nadzieję, że w tym roku w końcu pójdziesz po rozum do głowy i pozwolisz mi zasiąść z Tobą przy stole. Ignorujesz mnie, choć ja przez całe życie wypruwałam sobie dla Ciebie żyły, gdy Twój ojciec postanowił badać żółwie, zamiast mnie wspierać. Pora zapomnieć o tym, co było, skarbie.

Krew tężeje mi w żyłach, kiedy czytam wiadomość od matki. Chyba nie muszę tłumaczyć, jakie mam stosunki z kobietą, którą w telefonie podpisałam imieniem, jak zwykłą koleżankę. Wrzucam komórkę z powrotem do torby, jakby mnie parzyła. Przeczynałam, że tak będzie. Ta kobieta atakuje mnie zawsze wtedy, gdy myślę, że wreszcie dała mi spokój. Przez kolejne tygodnie będę miała z nią ciężką przeprawę, bo – jak co roku – będzie starała się wprosić na święta.

Nie! Nie pozwolę jej na to. Wciągam powietrze nosem i wypuszczam ustami, mając nadzieję, że nikt postronny tego nie dostrzeże.

Matka nie popsuje mi tego dnia jeszcze bardziej.

Zimny podmuch wiatru uderza we mnie z mocą japońskiego pociągu. Nie mogę powstrzymać jęku, bo wybitnie nie lubię, gdy pogoda w grudniu bardziej przypomina tę jesienną niż zimową.

Od tej szaroburej aury robię się bardziej zrzędliva. Z utęsknieniem czekam na pierwszy śnieg, który przykryje te wyblakłe trawniki i psie kupy, których pełno przy alejkach.

Zawsze gdy zaczynam w sobie wątpić, przychodzi mi na myśl moja przyjaciółka Ada. Czemu nie mam takiego charakteru jak ona? Uśmiecham się pod nosem na myśl o zwariowanej blondynie, która trwa u mego boku od kilku lat. Naszą znajomość idealnie oddaje mem, który kiedyś zapisałam w swoim telefonie – to plansza z hasłem: „Jak introwertycy poznają nowych ludzi? Nie poznają. Po prostu ekstrawertycy ich sobie wybierają i biorą pod swoje skrzydła”. Tak samo było z nami. Sześć lat temu uczestniczyłyśmy wraz ze swoimi psami w tym samym kursie podstaw posłuszeństwa. Obydwie miałyśmy wówczas labradory, więc Ada od razu do mnie zagadała. A ja lubię, gdy ktoś przejmuje stery w rozmowie. Ona musiała to wyczuć, bo swoim wesołym trajkotaniem powoli burzyła moje zasieki. Kurs się zakończył, przyjaźń rozkwitła, nasze psiaki odeszły za Tęczowy Most, a my dalej kochamy się jak siostry. Ada z pewnością reklamowałaby własne książki z pasją godną rockmanki.

Staję na chodniku, zastanawiając się, czy zamiast taksówki wybrać jednak autobus, a po chwili w mojej torebce rozlega się znajomy dźwięk. Mam nadzieję, że to nie kolejny pełen pretensji SMS... Otwieram torbę i wygrzebuję z niej telefon. Ada! Chyba zacznę wierzyć, że mam moc przyciągania tych, o których myślę.

– Cześć, żuczku! – wita się ze mną wesoło, gdy przykładam telefon do ucha.

Nie mam pojęcia, skąd ona bierze tyle energii.



– Hej! Miło cię słyszeć – odpowiadam, idąc w stronę pozbawionego liści dębu, dumnie wyrastającego nieopodal.

Muszę się mocno postarać, aby nie domyśliła się, że nie tylko sprawa z Suskim nadwerżyła moje nerwy.

– Oj... słyszę to w twoim głosie. Jesteś wkurzona i poirytowana.

– I to jak – burczę, opierając się ramieniem o chropowaty pień. – Remigiusz znowu nawijał mi makaron na uszy, jak to nieszczęśliwe zakończenie znajdzie zrozumienie u moich czytelniczek. A Zyta... – ściszam głos, jakby czała się gdzieś w pobliżu i mogła mnie usłyszeć – ...nadal ciśnie mnie na tę trasę po Polsce.

– A niech mnie. – Ada cmoka. – Musisz w końcu otwarcie z nią porozmawiać. Wiesz, że zwodzenie jej to jak igranie z ogniem.

– Wiem! Ona zarządza swoim działem, jakby była co najmniej szefową CIA – szepczę ze wzrokiem utkwionym w siedzibie wydawnictwa niczym w jakimś nawiedzonym domu. – A ja jestem dla niej jak agent wrogiego wywiadu, który nie chce zdradzić cennych informacji. Próbuje mnie złamać na wszelkie możliwe sposoby. Teraz przeszła chyba do fazy nacisku.

– Ej... – Ada zaciąga się powietrzem z zachwytu. – To niezły pomysł na książkę. Agent FBI pod przykrywką zakochuje się w kobiecie, którą musi inwigilować!

Chichoczę pod nosem. Właśnie za to kocham tę dziewczynę. Rozgania ciemne chmury kotłujące się nad moją głową i sprawia, że zaczynam patrzeć na niektóre sprawy przez różowe okulary.

– I według zaleceń Remigiusza powinien ją na końcu zabić.

– Och, nie! – jęczy ze smutkiem. – Lepiej nie zdradzaj mu teraz tego pomysłu. Poczekaj, aż znowu stwierdzi, że szczęśliwe zakończenia są w modzie.



– Mam nadzieję, że mu się odmieni. – Wsuwam palec pod czapkę i drapię się po czole. – Za miesiąc się okaże, czy książka przypadła mu do gustu. Nabawię się nerwicy przez ten czas.

– Oczywiście, że mu się spodoba. Dzięki komu kupi sobie kolejne BMW?!

Śmieję się gorzko, bo ów nowiutki samochód stoi na parkingu przed budynkiem. Czarny lakier lśni tak, jakby autem przyjechał ktoś z korpusu dyplomatycznego. To wielki SUV, którego koła przypominają rozmiarem te od traktora. Pewnie kosztowało z pół miliona.

– Czy w związku ze spotkaniem z opresyjną Zytą planujemy coś odstresowującego na wieczór?

– Hmm... – zastanawiam się głośno, choć obydwie wiemy, że wieczorami nie mam nic do roboty. – Jeśli nie masz żadnej randki, to chętnie coś przekąszę.

Nie powinnam nawet myśleć o jedzeniu, patrząc na rozmiar moich ud, ale potrzebuję pokrzepiającej dawki węglowodanów.

– Gdybym miała zamiar się z kimś spotkać, pierwsza byś o tym wiedziała – rzuca lekko, bo temat randek jest dla niej czymś tak normalnym jak odhaczenie śmietany na liście zakupów. – Chwilowo jednak nikt nie przykuł mojej uwagi.

– Ich strata!

To kolejna różnica pomiędzy nami. Ona uwielbia flirtować i wykorzystywać swój urok osobisty do uwodzenia przystojniaków. Nie ma oporów, aby pójść na drinka czy kolację z nowo poznanym kolegą. Pomaga jej w tym uroda słodkiej, kalifornijskiej blondynki. Moja matka mawiała, że mężczyźni mają sentyment do jasnego koloru włosów. Wszystkie znane seksbomby były blondynkami, więc faceci podświadomie kojarzą ten kolor z atrakcyjnością. O jej

obsesji na tym punkcie świadczy rodzinna anegdota, przywoływana przez tatę, o tym, jak matka zareagowała na mój widok tuż po moich narodzinach. Gdy położono moje nowo narodzone ciało na jej piersi, rzekomo miała się rozpłakać na widok czekoladowej czupryny, którą już wtedy miałam na głowie. Pytała nawet, czy jest szansa, że włosy kiedykolwiek mi się rozjaśnią. Kiedy personel stanowczo zaprzeczył, ojciec musiał ją niemal siłą uspokajać. To wtedy podobno poczuł, że macierzyństwo nie będzie jej ulubionym zajęciem. I się nie mylił. Zresztą sam po jakimś czasie dał dyla.

Wychowana w poczuciu wyższości blondynek nad takimi „hagridami” jak ja, nie dziwię się, że mężczyźni jedzą Adzie z ręki. Aż jestem trochę zdziwiona, że dzisiaj z nikim się nie spotyka. Przesłuchiwanie jej z tego tematu zostawiam sobie jednak na później.

– W takim razie jestem za. – Uśmiecham się, dostrzegając w oddali nadjeżdżający autobus.

Z tej odległości nie widzę jeszcze numeru linii, ale może uda mi się przedostać na starówkę bez wzywania taksówki.

– Kucharz w restauracji przygotowuje dzisiaj makaron z truflami, więc poproszę go, żeby mi trochę odłożył. A ty dokupisz jakieś słodkie wino. Dobry pomysł, nie?

No właśnie o tym mówię – nikt nie potrafi się jej oprzeć, nawet kucharz w knajpie, w której pełni funkcję kierowniczkę sali.

– Doskonały. Wino i makaron to to, czego dzisiaj pragnę – śmieję się. – Dobra, muszę kończyć, bo jedzie mój autobus. Zdzwonimy się, okej?

Odpycham się od drzewa, przesuвам torbę bardziej na brzuch, aby nie stać się łatwym łupem kieszonkowców, i pędzę w stronę autobusu.



– Napisz... mi... o której... sko-ończysz! – Truchtam i dyszę, bo tłum, który niespodziewanie kotłuje się przy drzwiach, wzbudza we mnie obawy, że nie znajdę miejsca siedzącego.

– Nawet jeśli będzie sporo ludzi, to powiem, że muszę szybciej wyjść i tyle... Nakłamię, że mam ginekologa. Poradzą sobie beze mnie. Jesteś tam?

Ktoś próbuje wcisnąć się przede mną. Zdezorientowana, uderzam twarzą w plecy jakiegoś dziarskiego, wysokiego jak żyrafa dziadka. Zarzuca mną jak łódką na wzburzonym morzu.

– Au! – jęczę.

– Dalia?! Wszystko okej?! – martwi się przyjaciółka, a mnie napływają do oczu łzy, bo tuż po tym, jak wpadam na starca i dźgam go nosem, ten cofa się wprost na mnie, przez co tracę równowagę.

Puszczam telefon i zaczynam rozpaczliwie machać rękoma w nadziei, że uda mi się na kimkolwiek wesprzeć i nie runąć jak długa. Niestety tłum rozstępuje się jak Morze Czerwone, dziadek wyzywa mnie od ślepej krowy, a ja z impetem ląduję na chodniku.

– Dalia...! Co się tam dzieje?!

Przeszywający ból wybucha w okolicy mojej kości ogonowej. Najwyraźniej gruba kurtka oraz tkanka tłuszczowa, którą tam magazynuję, nie wystarczają, aby zamortyzować upadek.

Ostatnim, co słyszę, jest przeraźliwy wrzask kogoś w oddali, a pokryte ciemnymi chmurami niebo gaśnie przed moimi oczami, jakby nagle zapadła noc.

